

Z Maciejem

Zakrzewskim

rozmawia

Jan Wróbel

Sporo czasu minęło, odkąd po raz ostatni „ze spuszczoną głową powoli szedł polski żołnierz z niewoli”. Prawdę mówiąc, pokolenie, które weszło w dorosłość po 1989 r., miało prawo myśleć, że ten wiersz Broniewskiego nikomu się już nie przyda, chyba że na akademii szkolnej. Miało prawo. Niemal od razu po upadku komunizmu zaczęliśmy proces przybliżania się do NATO i do Unii Europejskiej. I się nam udało. Zresztą nie mieliśmy nawet innej możliwości niż iść na Zachód, do sprawdzonych sojuszy. Powiedziałbym, że uznaliśmy powszechnie, iż Polska ma niezwykłą w dziejach szansę i musi ją wykorzystać. Zatem poczucie ulgi oraz przekonanie, że będąc już w Pakcie i Unii, możemy sobie odpuścić następne wielkie projekty, da się zrozumieć. Oraz przeświadczenie, że w momencie, w którym dojrniemy do brzegów Europy Zachodniej, dla nas historia się skończy.

Bo nam się ten koniec historii po prostu należał. Dobrnęliśmy do mety – i oto mogliśmy w końcu cieszyć się tym, czym

Zachód cieszył się przez parę poprzednich dekad. Kiedy kilku mądrych ludzi wskazywało, że historia ani polityka nigdy się nie kończą, nie podjęliśmy dyskusji.

Pamiętam publicystykę popularnego przecież w Polsce brytyjskiego filozofa i politologa Johna Graya – że po upadku bipolarnego układu międzynarodowego świat wróci do starej rywalizacji o zasoby. Przetasowania geopolityczne są normalnym elementem funkcjonowania układu międzynarodowego. Cóż, wojna w Ukrainie pokazała wszystkim, że etap odpoczynku od historii się skończył. A nam, że jesteśmy zagrożeni. I nawet myślę, że w momencie, kiedy wybuchła wojna w Ukrainie, złapaliśmy się przekonania, że wojna jest tam, natomiast my jesteśmy tu, za żelaznym murem NATO. W 2025 r. widzimy, że ten mur Paktu nie jest już tak oczywisty. Łagodnie mówiąc, rzeczywistość jest inna niż w styczniu 2022 r.

Bać się? Nie bać?
Strach jest złym doradcą.

Jako przyprawa nadaje wszelako jakości działaniom.
W moim przekonaniu bezpośrednio nic nam teraz nie zagraża. Ale nie można uznać, że zagrożenie to tylko publicystyczny straszak. Nikt nie wie, dokąd

zmierza sytuacja – bo płynne zaczęło być to, co było dotąd stabilne. Sojusz Północnoatlantycki gdzieś na tych szwach atlantyckich zaczyna trzeszczeć. Z kolei UE stoi w rozkroku – pogłębiać integrację czy nie? Nasze przyczółki stabilności – NATO i Unia – za którymi tęsknotę wyrabialiśmy sobie w czasach komunizmu, po prostu tracą funkcję pewników. Nie byliśmy przygotowani na taką sytuację. Nie mamy, uczciwie mówiąc, przeciwiczonych ani scenariuszy na nowe czasy, ani języka polityki, żeby je właściwie opisać. Polscy politycy zbyt często robią politykę zagraniczną, żeby pokazać nam miraż, a nie żeby tworzyć przestrzeń skutków. Na początku wojny rosyjsko-ukraińskiej słyszeliśmy wspaniałe deklaracje, wręcz wracał duch Polski Jagiellonów: oto w Polsce wreszcie zbiegają się wszystkie linie międzynarodowej polityki. Napisałem tekst, że Polacy nie będą w stanie wykorzystać tych pięciu minut, że jesteśmy wyłącznie dysponentem strategicznego terytorium na chwilę. Także dlatego, że zaniedbaliśmy kwestię europejską. Lewica europejska, w każdym razie spora jej część, zaproponowała pogłębienie integracji, a prawica, także ta rządząca wtedy Polską, nie zaproponowała alternatywnego i odważnego myślenia o Europie. Bo Europa Ojczyzn nie jest projektem integracyjnym, tylko dezintegracyjnym. Dla nas dezintegracja to klęska. Polska

bez możliwości wpływania na sprawną Unię Europejską nie będzie skuteczna na żadnym polu.

Sporo pan pisał o „Buncie Młodych”, piśmie, a raczej środowisku młodego pokolenia piłsudczyków, które starało się dać II RP wizję i język polityki zagranicznej. Władza, przecież piłsudczykowska, pognęła ich. A potem przegrała wojnę. Środowisko, o którym pan mówi, posługiwało się ideą „Polski mocarstwowej”. Oczywiście, kiedy w Polsce ktoś mówi o mocarstwowości, to przed oczami od razu husaria się pojawia...

Polska tromtadracja. Ileż atramentu już na nią wylano w szyderstwach... Tyle że młodzi bracia Bocheńscy, Pruszyński, Kisielewski, Frankowski, Giedroyc to były wielkie nazwiska młodego pokolenia. Realisci, żadni fantasty. „Polska mocarstwowa” to hasło mobilizacji. Argumentowali tak: niepodległość nam wyszła, jednak wciąż funkcjonujemy w niekorzystnym układzie geopolitycznym. Kleszcze międzynarodowe wciąż nam śmiertelnie zagrażają. Korzystne procesy wypchnęły nas na niepodległość, lecz bez uruchomienia poważnej siły wewnętrznej procesy geopolityczne mogą doprowadzić do, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, zwinięcia projektu Polska.

WYWIAD



RYS. STANISŁAW GAJEWSKI

Wykrakali.

Niespecjalnie ich słuchano. Kiedy mówili, że trzeba zbudować podmiotowość Polski, słyszeli, że władza już świetnie to robi. Domagali się stabilności polityki zagranicznej, ale również poszerzenia pola działania dla opozycji, przez sanację dość mocno przyduszanej. Słyszeli, że są harcerzykami i nie znają się na poważnej robocie.

Jakby ktoś się zgubił – mówimy o Polsce lat 30. XX w.

W moim odczuciu w Polsce lat 90. i dwutysięcznych była pewna symbioza polityki i inteligencji. Do czasu. Teraz środowiska polityczne zdefiniowane są za pomocą partii, mających bardzo specyficzną konstrukcję wodzowską, klientelistyczną, i po prostu pożerającą środowiska inteligenckie za pomocą apanaży, funduszy, pokus.

I szantażu emocjonalnego, pozwolę sobie dodać.

Czasem nawet postraszenia. To się zemści, bo politycy nie będą stawiani przed lustrami. Pokolenie Giedroycia widziało podmiotowość państwa, „mocarstwowość”, jako proces naprawy instytucji II RP. Chcieli przy tym innej polityki wobec mniejszości narodowych, wchodząc zresztą w ogromny spór z radykalnym ruchem narodowym, mającym wówczas wśród młodych bardzo silną pozycję. Tłumaczyli,

że rozpalając wojnę narodowościową w stosunku do Ukraińców i koncentrując się na problemie mniejszości narodowych, osłabiamy państwo zamiast je wzmacniać. Jednak to, co szczególnie budziło wrogość sanacji, to krytyka polityki deklaracji. Młodzi powtarzali, że warunki naszego układu geopolitycznego musimy zmieniać za pomocą realnych kroków, a samo ogłaszanie wielkich celów nie przybliży nas do ich realizacji.

Krytykowali nawet ideę Międzymorza, która co rusz odżywa współcześnie. Ba, była taka chwila po napaści Rosji na Ukrainę, w której padła nawet idea naszej unii z Ukrainą.

Ba, tylko jak to zrobić? Ułańska fantazja... Bo kiedy pojawiła się podczas tej wojny sporna kwestia zboża „technicznego”, zaczęły się schody. Problem był do rozwiązania za pomocą sprawnej biurokracji trzymającej się przejrzystych przepisów. A stał się zarzewiem konfliktu o dalekosiężnych konsekwencjach. Umocnił on na dodatek przekonanie, że polski rząd ma zdolność do pokłócenia się z każdym z naszych sąsiadów. Pojawiają się te mirażowe trójmorskie, że oto dogadamy się z Bułgarią i ze Szwecją, i będziemy zwornikiem nowych układów międzynarodowych. By tego typu plany realizować, trzeba mieć własny potencjał, trzeba wchodzić w takie projekty jako silniejszy i stabilny

partner – a nie mamy takiej opinii. Koniec, kropka. Adolf Bocheński miał takie powiedzenie, że jak będziemy się opierać o morze, to do niego wpadniemy. Aleksander Trzaska-Chrząszczewski, bardzo niedoceniony genialny politolog tamtego pokolenia, przypominał pruską zasadę polityczną: zawsze zmierzać do najbliższego celu. Zatem nie myślemy o bratanii z ludami Europy, odnawianiu imperium jagiellońskiego, tworzeniu federacji środkowoeuropejskiej, bo brakuje nam możliwości zrealizowania owych pomysłów. Skupmy się, mówić, na demontażu kleszczy geopolitycznych. Po obu stronach granicy mieliśmy bardzo silne organizmy imperialne, które uniemożliwiały nam jakąkolwiek grę. Więc co zrobić? Próbować zdemontować jedną stronę tych kleszczy. Bardziej realistyczne wydawało się skoncentrowanie na działaniach wobec Rosji.

Bo „szwy narodowościowe”.

Czyli, potencjalnie, jeżeli raz się Rosję rozbije, to układ zmienia się trwale. Kiedy Adolf Bocheński opublikował „Między Niemcami a Rosją”, to wszyscy z lewa i z prawa stawiali mu zarzut przeceniania sprawy ukraińskiej – no, dobra, powstanie niepodległa Ukraina, ale co zrobisz, kiedy ona będzie w sojuszu z Niemcami? Bocheński odpowiadał: a jaki w tym problem? Dogadamy się z Rosją.

Przeciwko Niemcom i Ukrainie. No, śmiało.

Realistyczne. Rosja w częściach to dla nas możliwość gry, której nie mamy w chwili istnienia dwóch silnych bloków, które paraliżują również nasze projekty regionalne. Bez wyjścia z fatalnej sytuacji nie można nic zdziałać. Trzeba najpierw przygotować sobie pole pracy, a potem pracować, nie na odwrót.

Rzeczywistość potwierdziła wartość tej analizy. Nic dziwnego, że Putin próbuje zlikwidować Ukrainę, że już zwasalizował Białoruś. Aczkolwiek pragnień, by sprzymierzać się z Polakami, u niego nie widać.

Bo, jak na razie, interesują go bardziej Chiny i Ameryka niż UE. A wracając do Bocheńskiego – nie mówił, że wie, jak będzie. Rozumiał jednak, że wielka Rosja – komunistyczna czy nie, obojętnie – w praktyce wyłącza Polskę z gry międzynarodowej.

Środowisko Giedroycia uderzyło mocno w serce myślenia piłsudczykowskiego – w prometeizm. Zwalczali mniemanie, że Ukraińcy powinni być nam wdzięczni, gdybyśmy chcieli otoczyć ich sojuszem.

Ludzie Giedroycia potrafili atakować władzę, którą wspierali, to fakt. A denerwowali piłsudczyków, m.in. przypominając sojusz z 1920 r., tradycję równorzędnego układu Piłsudskiego i Petlury, o której piłsudzczycy już w latach 30. zdążyli zapomnieć. Niepodległa Ukraina jest absolutnie naszym priorytetem, a polityka wschodnia to dla nas kluczowy obszar – pisali cały czas.

Cechą III RP było z kolei albo uznawanie, że na grę we Wschód i Zachód to jesteśmy po prostu za mali, albo uznawanie, że Europa Zachodnia to bałwany i tylko Polacy z Amerykanami rozumieją świat.

Niedocenianie swojego potencjału z jednej strony, a z drugiej strony przecenianie i wielkie słowa. Wspólny mianownik: odrealnienie.

Bywają w Polsce środowiska, które mogły PiS-owi pomóc stanąć na nogi, zresztą także PO. Nie chcę szufladkować np. Nowej Konfederacji niemniej to wymarzony intelektualny wspornik poważnej polityki.

Niestety, tylko w teorii. Wielkie partie odpędzają się od Nowej Konfederacji, jak piłsudzczycy od „Buntu Młodych”. O tyle jest lepiej, że nikt nie chce wsadzać Bartłomieja Radziejewskiego do obozu w Berezie Kartuskiej, a Giedroycia chcieli. Albo nie chcieli.

Tak ładnie opisuje to w swojej autobiografii. I że ostatecznie go nie zamknęli, bo jego ciocia знаła panią, która była ciocią ważnego... Uśmiecha się pan.

Giedroyc to pełnokrwisty polityk, nie redaktor. Myślał politycznie niczym Talleyrand, który naprawdę świetnie operował w światłocieniach, i nie podejmował przesadnego ryzyka. Kiedy zaczęła funkcjonować Bereza, to Bocheński z Pruszyńskim gotowi byli mocno bić w „Buncie Młodych” w ten pomysł sanacji. Ale Giedroyc to tonował. Także dlatego, że cenzura konfiskowała nakłady pism uderzających w sanację. Szarże nie miały więc sensu. Niektórzy autorzy Giedroycia stwierdzili, że się wyemancypują i chyba przez pół roku wydawali pismo „Problemy” – ale było ono co chwila konfiskowane i upadło. Niemniej za artykuł Aleksandra Bocheńskiego Giedroyc miał trafić do Berezy... ale jest mitologia. Giedroyc napisał cudowną i służącą mu historię. Niemniej faktycznie, „Bunt Młodych” traktowany był per nogą. W swojej książce piszę, że zainteresowanie tym środowiskiem wzmogło się w Polsce w latach 70., a później cały czas rośnie. Książek o nim jest coraz więcej. Gorzej było przed wojną. „Młodzi, inteligentni, zdolni, ale na polityce się nie znają”. Adolf Bocheński to był jeden z najwybitniejszych polskich geopolityków – a państwo polskie użyło go jako prostego szeregowca. No i jako żołnierz dokończył żywota w 1944 r.

Oburzenie się pełni w polskiej polityce ogromną rolę. Ostatnio oburzamy się na Donalda Trumpa, który tak brzydko potraktował prezydenta Wołodymyra Zełenskigo. Co lepiej wykształceni historycy nie Polacy przytomnie przypominają niektóre rozmowy Churchill-a z polskim rządem emigracyjnym podczas II wojny światowej.

Churchill miał lepszy styl. I nie zrobiliby tego przed kamerami. Natomiast od pewnego momentu grał w otwarte karty i podobnie przyciskał nasz rząd do ściany, aby ten musiał przyznać, że nie ma silnych własnych kart. Rozmowa Trump – Zełenski była o tyle ważna, że pokazuje robienie polityki przez tego pierwszego. Zaś w miejsce Zełenskigo możemy wstawić dowolnego prezydenta albo premiera średniego kraju.

Myśli pan, że taki Karol Mentzen-Trzaskowski mógłby siedzieć przed Trumpem na jakimś zydli i notować, ile mamy zapłacić Amerykanom za opiekę? Optymistycznie zakładam, że piękne słowa o bohaterskich Polakach byłyby w gratisie.

Wyobrażam sobie nawet, że polski prezydent nie dostanie nawet zydla i będzie stał. A piękne słowa o Polsce mówił F.D. Roosevelt, po czym Stalinowi oddał Europę Środkową. ©



FOT. MAT. PRASOWE

Maciej
Zakrzewski

wiceprezes Ośrodka
Myśli Politycznej,
politolog